

WSTĘP

Dwie legendy, dwóch więźniów Auschwitz

Jakich Polska ma dziś bohaterów? Kto ich kreuje? Bez takich pytań trudno zrozumieć, dlaczego rozpowszechnione są wśród młodzieży (i nie tylko wśród niej) postawy nihilistyczne. Jeśli ludzie, których życie i działalność mogłyby służyć za wzorce do naśladowania, byli urzędowo zapominani, to ich miejsce zajmowali ludzie mali, tchórzliwi, często przestępcy kryminalni, którym dorabiano pseudobohaterskie życiorysy...

Do takich celowo zapominanych, a wielkich Polaków należy Witold Pilecki. Czym zasłużył sobie na zapomnienie? Pochodził z kresowej rodziny ziemiańskiej, był harcerzem, w 1918 roku ochotniczo służył jako ułan w Samoobronie Wileńskiej. W wojnie sowiecko-polskiej 1920 roku brał udział ponownie jako ochotnik. Założył 8. Wileńską Drużynę Harcerzy. Jego szerokie zainteresowania objawiały się tym, że był słuchaczem Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i Wydziału Rolniczego Uniwersytetu Poznańskiego.

Jako oficer rezerwy kawalerii brał udział w wojnie obronnej 1939 roku. Po klęsce wojennej natychmiast włączył się w nurt konspiracji niepodległościowej. Był współzałożycielem Tajnej

Armii Polskiej, organizacji narodowo-katolickiej, w której pełnił funkcję szefa sztabu (pod pseudonimem „Witold”). Był autorem przepięknej roty przysięgi tej organizacji.

Już w sierpniu 1940 roku zaproponował swym przełożonym z TAP, że przedostanie się do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz w Oświęcimiu, aby zebrać informacje o warunkach życia więźniów, zorganizować tam konspirację i zbadać możliwości uwolnienia nieszczęśników. Zamiar ten urzeczywistnił już we wrześniu tego roku, włączając się dobrowolnie do grupy osób zatrzymanych przez Niemców w łapanie na Żoliborzu. W Oświęcimiu przebywał pod fałszywym nazwiskiem: Tomasz Serafiński, otrzymał tam kolejny numer: 4859. Był inicjatorem i organizatorem Związku Organizacji Wojskowej, która później weszła w skład Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej. Jeszcze w obozie, za swe szczególne zasługi, otrzymał awans do stopnia porucznika.

Zagrożony całkowitą dekonspiracją, nocą z 26 na 27 kwietnia 1943 roku dokonał udanej ucieczki z obozu, zabierając ze sobą dwóch współwięźniów. Sporządził jedyne w swoim rodzaju raporty z obozu, oparte o osobiste przeżycia i doświadczenia z półtorarocznego w nim pobytu. Za ten wyczyn – pobyt w obozie i ucieczkę – został awansowany do stopnia rotmistrza WP.

Następnie został funkcjonariuszem wywiadu Kedywu KG Armii Krajowej. Brał udział w Powstaniu Warszawskim jako dowódca kompanii w zgrupowaniu „Chrobry II”, zorganizowanym doraźnie, w chwili wybuchu Powstania, przez oficerów NSZ. Zgrupowanie to – według oceny dowódcy Powstania, gen. Antoniego Chruściela „Montera” – jako jedyne nie oddało Niemcom „przez cały czas trwania akcji ani piędzi terenu”. Po kapitulacji przebywał w oflagach Lamsdorf i Murnau, a po zakończeniu działań wojennych dołączył do II Korpusu gen. Władysława Andersa.



Władysław
Bartoszewski (2006)



Władysław Bartoszewski
na obozowej fotografii z Auschwitz

Do Polski, już wówczas pod okupacją komunistyczną, powrócił w grudniu 1945 roku. Zaledwie półtora roku później – 5 maja 1947 roku – został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa. Został oskarżony o to, że był... „szefem wywiadu Andersa na Polskę”. Po niezwykle brutalnym, nawet jak na tamte czasy, śledztwie, w którym zastosowano wymyślne tortury, stanął przed komunistycznym wymiarem (nie)sprawiedliwości. Podczas wידzenia z żoną zwierzył się jej, że pobyt w Auschwitz „to była igraszka”... Jego sfingowany proces sądowy odbył się w marcu 1948 roku przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie. Otrzymał karę śmierci, którą wykonano 25 maja 1948 roku, zaledwie po dwóch miesiącach od wyroku.

Celem takich procesów było nie tylko pozbawianie ludzi życia, ale też ich niszczenie moralne. Czymże bowiem jest dla człowieka, który całe życie poświęcił służbie Bogu i Ojczyźnie, oskarżenie „o szpiegostwo”, czyli zdradę główną? A były to czasy, gdy nie potrzebowano żadnych dowodów.

Historyk brytyjski Michael Foot uznał Witolda Pileckiego za jednego z sześciu najodważniejszych ludzi w okupowanej Europie. Jego wyczyn był bowiem bezprecedensowy – każdy dzień dobrowolnego pobytu w Oświęcimiu mógł zakończyć się śmiercią. Panujące w kraju milczenie na temat Jego osoby, trwające dziesiątki lat, doprowadziło do zaniku pamięci o Nim.

Tamten straszny w swej istocie obóz niemiecki Witold Pilecki przeżył. Nie przeżył natomiast pobytu w Polsce pod panowaniem komunistów, tak jak dziesiątki tysięcy Jego kolegów, przyjaciół, towarzyszy broni – ludzi, którzy nie zdradzili wyznawanych wartości. Polska wchodziła wówczas bowiem w skład „obozu komunistycznego”. W imię zbrodniczej ideologii budowano na świecie imperium zła. I my padliśmy ofiarą jego podboju. Zbrodni wówczas popełnionych nie da się wybaczyć. I nie wolno ich zapomnieć, aby zbrodniarze – a przede wszystkim

ich polityczni spadkobiercy – nie śmiali się nam szyderczo w twarz.

Przez szereg lat legendzie Witolda Pileckiego przeciwstawiano mocno naciąganą legendę Władysława Bartoszewskiego. On również był więźniem Auschwitz, ale krótkotrwałym (półrocznym). Został zwolniony 8 kwietnia 1941 roku, po kilkumiesięcznym pobycie w obozowym szpitalu (już od 12 grudnia 1940 r.). Na dworzec kolejowy do Katowic odprowadzał go (wraz z grupką innych zwolnionych więźniów) funkcjonariusz SS.

Po zwolnieniu sporządził podobno raport z pobytu w obozie. Właściwie nie sporządził (choć i takie wersje rozpowszechniał), tylko jakoby dyktował swe wspomnienia Hannie Czaki, a ona miała to przekazać dalej. Biorąc pod uwagę fakt, że większość czasu spędził w obozowym szpitalu, niewiele miał do powiedzenia. Później Bartoszewski zaangażował się w konspirację, był we Froncie Obrony Polski Zofii Kossak-Szczuckiej i wraz z nią w „Żegocie”, czyli w Radzie Pomocy Żydom. Należy pamiętać, że miał wówczas zaledwie dwadzieścia lat i przypisywana mu powszechnie olbrzymia rola, jaką rzekomo odgrywał w tej organizacji – jest po prostu mitem. Podczas Powstania Warszawskiego Bartoszewski też był w Warszawie, choć funkcje (to też enigmatyczny okres jego życia), jakie pełnił, nie dorównywały tym, jakie były udziałem Pileckiego.

Po zakończeniu działań II wojny światowej na ziemiach polskich znów odnajdujemy podobne elementy ich losu. Bartoszewski również został aresztowany, na szczęście nie otrzymał kary śmierci. Więzienie zniósł bardzo godnie, podkreślali to wszyscy, którzy się tam z nim zetknęli.

Później Bartoszewski jakoś ułożył sobie życie w nowych warunkach. Sporo pisał o okresie okupacji, ale jakoś Pileckiego pomijał, godząc się z rolą „głównego bohatera Auschwitz”. W 2006 roku był bezwzględny przeciwnikiem pośmiertnego

odznaczenia Witolda Pileckiego Orderem Orła Białego: „Precedensowa decyzja o pośmiertnym odznaczeniu obu bohaterów otworzy możliwość wywierania nacisków w sprawie kolejnych kandydatur”. Protestował, pomimo że istniała już wówczas praktyka odznaczeń pośmiertnych (przedtem jednak nie protestował).

Być może wynikało to z jego charakteru i egoizmu oraz tęgiego nadrabiania miną w sprawie szczegółów swego życiorysu. Nie było to potrzebne, zasług nikt by mu nie odbierał i stałby się obiektem powszechnej krytyki. Nigdy nie wyjaśnił jednoznacznie sprawy swej matury. W 1939 r., gdy rzekomo składał taki egzamin, miał zaledwie 17 lat. Był absolwentem dwuletniego Liceum Humanistycznego Towarzystwa Wychowawczo-Oświatowego „Przyszłość” w Warszawie (bez uprawnień maturalnych). Wystarczyłoby, gdyby taki dokument okazał publicznie... Być może fałszywie pojmowana duma i ogromna próżność powstrzymywały go przed formalnym dokończeniem edukacji (uzyskanie matury oraz magisterium). Ale powszechne czapkowanie tytułarnym (bo przecież nie faktycznym) „profesorem” przyjmował z wdzięcznością i szczególnym samozadowoleniem.

Pewien wpływ mogły mieć również kompleksy niższości. Jego ojciec nazywał się inaczej, zmienił nazwisko z „Bartosiak” na „Bartoszewski”, przenosząc się ze wsi Żaby do Warszawy. Była to chłopska rodzina (jak olbrzymia większość rodzin w Polsce, skąd więc to poczucie wstydu?). Dziadek „profesora” był zwykłym lokajem, stąd być może brało się zacieranie śladów przeszłości.

Ostatnie lata, zamiast czerpać korzyści z naprawdę fascynującego (prawdziwego) życiorysu, poświęcił na walkę z przeciwnikami politycznymi, uczestnicząc ochoczo w podziale politycznych (i nie tylko) łupów. Ale to było „coś za coś”. Prawdopodobnie tłumaczy to jego postawę w ostatnich latach życia – np. nazywanie osób głoszących inaczej niż on byłem.

Dwie legendy, dwóch więźniów Auschwitz

Szczególnie haniebnie zabrzmiały jego słowa o strachu podczas okupacji: „Mieszkałem w domu pełnym inteligencji. Ale jeśli ktoś z nas odczuwał strach, to nie przed Niemcami. Gdy jakiś oficer zobaczył mnie na ulicy, a nie miał rozkazu aresztowania, niczego nie musiałem się obawiać. Ale polski sąsiad, który zauważył, że kupiłem więcej chleba niż zwykle – to jego musiałem się bać”. Tak, ten dom, jak i cała okolica – pełen był polskiej inteligencji, polskich elit. Mieszkali tam politycy, ludzie nauki, kultury i sztuki, oficerowie Wojska Polskiego. Jak można było bać się polskich elit? To zapewne zagadka dla przyszłych, obiektywnych biografów Bartoszewskiego, bezstronnych badaczy jego życiorysu...

Nic dziwnego, że pamięć o rotmistrzu Witoldzie Pileckim odżywa i na trwałe wrasta do naszej świadomości, a na Władysława Bartoszewskiego młodsze pokolenia (wrażliwsze na fałsz i obłudę) patrzą z coraz większą podejrzliwością.

Leszek Żebrowski

Raport rtm. Witolda Pileckiego

Więc mam opisać możliwie suche fakty, jak tego chcą moi koledzy. Mówiono: „Im bardziej pan się będzie trzymał samych faktów, podając je bez komentarzy, tym będzie to wartościowsze”. Spróbuję więc... lecz człowiek przecież nie był z drewna - już nie mówię z kamienia (choć wydawało się, że i kamień nieraz musiałby się spocić). Czasami więc, wśród podawanych faktów będę jednak wstawiał myśl, wyrażającą to, co się czuło. Nie wiem, czy koniecznie ma to obniżać wartość napisanego. Nie było się z kamienia - często mu zazdrościłem - miało się jeszcze ciągle bijące, czasem w gardle, serce, kołaczącą gdzieś - chyba w głowie - myśl, czasami łapałem ją z trudem... O nich - dorzucając od czasu do czasu parę odczuć - sądzę, że dopiero odda się obraz prawdziwy.

Dnia 19 września 1940 r. - druga łapanka w Warszawie. Jeszcze żyje kilku ludzi, którzy widzieli, jak o godzinie 6.00 rano szedłem sam i na rogu Alei Wojska i Felińskiego stanąłem w „piątce” ustawiane przez esesmanów z łapanych mężczyzn. Potem załadowano nas na Placu Wilsona do aut ciężarowych i zawieziono do koszar Szwoleżerów. Po spisaniu danych personalnych w zorganizowanym tam prowizorycznie biurze i odebraniu ostrych przedmiotów (pod groźbą

zastrzelenia, jeśli się potem u kogoś bodaj żyłетка znajdzie) wprowadzono nas na ujeżdżalnię, gdzie pozostawaliśmy przez 19 i 20 września.

W ciągu tych paru dni niektórzy zdążyli już zapoznać się z pałką gumową spadającą na ich głowy. Mieściło się to jednak w ramach możliwych do przyjęcia, dla ludzi przyzwyczajonych do tego rodzaju sposobów utrzymywania ładu przez stróżów porządku. W tym czasie niektóre rodziny wykupywały swych najbliższych, płacąc ogromne sumy esesmanom. W nocy spaliliśmy wszyscy pokotem na ziemi. Ujeżdżalnię oświetlał ogromny reflektor, stojący przy wejściu. Po czterech stronach umieszczeni byli esesmani z bronią maszynową.

Było nas tysiąc osiemset kilkudziesięciu. Mnie osobiście najbardziej denerwowała bierność masy Polaków. Wszyscy złapani nasiąkli już jakąś psychozą tłumu, która wtedy wyrażała się w tym, że cały ten tłum upodobił się do stada baranów.

Nęciła mnie myśl prosta: wzburzyć umysły, poderwać do czynu tę masę. Współtowarzyszowi memu - Sławkowi Szpakowskiemu (wiem, że żył do czasu powstania w Warszawie) proponowałem nawet wspólną akcję w nocy: opanowanie tłumu, napad na posterunki, przy czym miałem - przechodząc do ubikacji - „zawadzić” o reflektor i zniszczyć go. Lecz ja przecież w innym celu znalazłem się w tym środowisku, a to byłoby pójściem na rzecz znacznie mniejszą... On w ogóle uważał to za pomysł z dziedziny fantazji.

21 września rano wsadzono nas do aut ciężarowych i w towarzystwie eskortujących motocykli z bronią maszynową, odwieziono na dworzec zachodni i załadowano do wagonów towarowych. W wagonach tych przedtem

widocznie musieli wieźć wapno, gdyż cała podłoga była nim wysypana. Wagony zamknięto. Wieziono dzień cały. Pić ani jeść nie dali. Zresztą jeść nikt nie chciał. Mieliliśmy, wydany dnia poprzedniego, chleb którego wtedy ani jeść ani cenić nie umieliśmy. Chciało się nam tylko bardzo pić. Wapno pod wpływem wstrząsów rozdrabniało się w pył. Unosiło się w powietrzu, drażniło nozdrza i gardło. Pić nie dali. Przez szczeliny desek, którymi zabite były okna, widzieliśmy, że wiozą nas gdzieś na Częstochowę. Około 10 wieczór (godzina 22.00) pociąg się zatrzymał w jakimś miejscu i dalej już nie jechał. Słychać było krzyki, wrzask, otwieranie wagonów, ujadanie psów.

To miejsce we wspomnieniach moich nazwałbym momentem, w którym kończyłem ze wszystkim, co było dotychczas na ziemi i zacząłem coś, co było chyba gdzieś poza nią. Nie jest to silenie się na jakieś dziwne słowa, określenia. Przeciwnie - uważam, że na żadne słówko ładnie brzmiące, a nieistotne, wysilać się nie potrzebuję. Tak było. W głowy nasze uderzały nie tylko kolby esesmanów - uderzało coś więcej. Brutalnie kopnięto we wszystkie nasze pojęcia, do których myśmy się na ziemi przyzwyczaili (do jakiegoś porządku rzeczy - prawa). To wszystko wzięło w łeb. Usiłowano uderzyć możliwie radykalnie. Załamać nas psychicznie jak najszybciej.

Zgiełk i jazgot głosów zbliżał się stopniowo. Nareszcie gwałtownie otwarto drzwi naszego wagonu. Oślepiły nas reflektory skierowane we wnętrze.

- Heraus! Rrraus! Rrraus! - padały wrzaski, a kolby esesmanów spadały na ramiona, plecy i głowy kolegów.